

Elżbieta Michalska

O duchowości prowincji refleksje także poetyckiej natury

Autobus

Po szarym warkoczku ulicy
jak wesz pełźnie autobus
to właściwie jedyny znak dla mnie
opasanej gęsto tkaną płachtą samotności
że na świecie żyją gdzieś inni
choćby ci tam
czasem mówię pieszczotliwie – białoniebieski wieloryb
częściej jednak
– wesz pełznająca po szarym warkoczku ulicy

Jesteś za wsią czy za miastem?

To kultowe zdanie z filmu Andrzeja Kondratiuka „Czy jest tu panna na wydaniu” chyba każdy pamięta, a gorzkie dylematy zakompleksionych młodych ludzi z prowincji, marzących o tym lepszym wielkim świecie, w którym ponoć, jak głoszą legendy – płoty są z kiełbasy – niejednemu z nas są bliskie. Pamiętam ranking z mojej zawodówki, dziewczyny się przechwalały, która mieszka w większej wsi i bardziej zmodernizowanym domu. Do szkół zawodowych trafiała przecież jedynie młodzież z nizin społecznych; ale byłaby heca, gdyby synalek prokuratora albo ordynatora trafił do ślusarzy czy spawaczy. Prędzej wylądowaliby w Cho-

roszczy Marsjanie i biegając nago zachęcali wszystkich do zbiorowej tolerancji i życia w konkubinatach.

W latach dziewięćdziesiątych zapanowała moda na arystokratyczne korzenie. Wszyscy chcieliśmy mieć prapradziadków z dworów, choćby trzeba było powiesić na ścianie portret domniemanego przodka kupiony w „Desie”, tak jak to zrobił Stefan Karwowski.

Nigdy nie zapomnę widoku bardzo nowoczesnej i bogato wyposażonej kuchni w domu kuzynów, gdzie się zgromadziliśmy na konsolację: my rodzina? Młodzi, starzy, bogaci, biedni, ledwie po podstawówkach i z tytułami doktorskimi z Piżdzimta nad Kukawką i z Warszawki, platfusy i pisiory. Z początku gadka się nie kleiła, no bo niby o czym mieliby ze sobą rozmawiać ludzie z tak różnych światów; później jakoś poszło. Na wielkiej lodówkozamrażarce stała nieco już popękana od starości dzieża i, o dziwo, nie pełniła funkcji sentymentalnego bibelotu, ale puszyła się z jej brzegów świeża mąka i grudki drożdżowego ciasta. Niby wszyscyśmy z tej samej mąki ulepieni...

Jakoby w dzisiejszych czasach nikt oprócz dnia Wszystkich Świętych nie odwiedza cmentarzy, a przecież u nas na prowincji jest inaczej. W małym miasteczku czy dużej wsi, w których wszędzie jest blisko, na cmentarz także mamy rzut beretem moherowym. Idąc do kościoła, zwłaszcza latem, często zachodzę odwiedzić groby rodziców, i jeśli jest to niedziela, mam pewność, że kogoś ze znajomych spotkam. Szkoda wielka, iż coraz mniej widzi się starych pięknie kutych krzyży, z koronkowymi żeliwnymi płótkami. Na ich miejsce wchodzi „ładne inaczej” chińskie marmury okraszane szmacianymi różyczkami w krzykliwych kolorach. Przykre jest i to, że coraz częściej prowincjonalni nuworysze, nasza inteligencja, elita, po przeżyciu nieraz kilkudziesięciu lat między prostaczkami decyduje się na wieczny spoczynek na nekropolii leżącej w wielkim mieście, tak jakby chcieli powiedzieć sobie i światu: „Wreszcie wracamy z obczyzny do

siebie. Tak naprawdę z tą prowincjonalną dziurą z tubylcami nigdy nic nas nie łączyło”.

Przypominam sobie dość uszczypliwą wypowiedź Wiktora Wołkowa narzekającego na lenistwo dzisiejszych chłopów, którym to nie chce się stawiać na łąkach stogów siana. A przecież to był taki kłiwy widok... Stogi siana niczym na obrazie Moneta sprzed stu pięćdziesięciu lat znikły bezpowrotnie.

Tak, tak, najlepiej zamknąć nas do skansenu. Na wieczorze autorskim w jednym z białostockich liceów zapytałam uczniów klasy maturalnej, ile jajek może znieść w ciągu dnia zdrowa, dobrze odżywiona kura. Odpowiedź padła z ust uczennicy (jak się później okazało, jednej ze zdolniejszych), że około sześciu – siedmiu jaj.

Ale jaja, jaka ta białostocka szkoła nowoczesna i postępową. Nie stawia na humanistów, lecz na umysły ścisłe, i chwala im za to. Tak to jest z uczonymi panoczkami, taki jeden z drugim to nawet potrzeby fizjologicznej nie wykona na podwórzu, bo nie potrafi. Gdy z górą dwadzieścia lat temu TV Białystok kręciła o mnie film dokumentalny pt. „Takie ze mnie dziwadło”, wiele razy padało pytanie: „Gdzie u was łazienka?” Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że za stodołą. Pamiętam te ich miny zakłopotane, ironiczne uśmieszki, połajanki, zbulwersowanie. Znajomy doradzał, abym udała się do pobliskiego ośrodka zdrowia po kaczkę, bo ci białostoccy panicze będą borykać się z intymnymi problemami.

Boże drogi, skłamałabym, gdybym powiedziała, że tęsknię za wychodkiem za stodołą, ale często, a właściwie coraz częściej brakuje mi klimatu dzieciństwa: wieczornych spotkań przy piecu opalanym brzoźowymi pieńkami, Ojca plotącego koszyki z jałowcowego łyka, Matki patroszącej ryby złowione w Narwi, starych sąsiadów snujących opowieści, co to było przed wojną, a co w czasie wojny, a u kogo w domu straszło, a kto ma w sobie trochę krwi cy-



Il. 1. Akwarela autorstwa Elżbiety Michalskiej

gańskiej, a kto do Żyda podobny, a gdzie może być zakopany skarb...

A przecież na moim polu nad rzeką kilka lat temu nasi białostoccy archeolodzy znaleźli całkiem pokaźny zbiór średniowiecznych monet. Czułam się po trosze taką niewydarzoną księżniczką, co chodzi do zbiorowej studni ze złotym wiaderkiem, jak mówiła jedna z białoruskich bajek. Przez dziesiątki lat nikomu z moich przodków nie przyszło do głowy, że nasze nadnarwiańskie pole kryje takie skarby.

W przestrzeni prowincji zwykle wszystkie ewenementy są w liczbie pojedynczej: jeden zabytek, jedna królowna, jeden sklep, jeden autobus, jedna prostytutka, jeden biznesmen i jedna poetka. Zamiast, jak sto lat temu, tkać na krosnach dywany dwuosnowowe, płótno na pościel czy worki, współczesne kobiety wybierają albo płytkie seriale, albo czytanie, i to nie zawsze harlekinów, na które chyba już dawno minęła moda.

– Ileż pięknych koronek, haftów i najrozmaitszego rękodzieła zostało po moich prababkach. A co zostanie po mnie?

W latach osiemdziesiątych do Złotorii na oazy przyjeżdżała masowo młodzież z całej Polski. Na wieczorne spotkania przy ognisku przychodziła nieśmiało miejscowa młodzież, w tym i ja. Zwykle stawaliśmy gdzieś z boku, niczym Rachela z „Wesela” Wyspiańskiego, i przypatrywaliśmy się tym z innego świata. Oprócz rozmaitych przedstawień i prelekcji o treści religijnej zdarzały się też chociażby adaptacje „Wiśniowego sadu” czy wykład o Mahatmie Ghandim. Ci, hen, z dalekiego świata, inaczej niż my ubrani, o innych zainteresowaniach, innych doświadczeniach – intrygowali nas. Po raz pierwszy uświadamialiśmy sobie, że gdzieś tam w niedalekim Białymstoku młodzi ludzie żyją zupełnie inaczej niż my.

Gdy przychodzę jesienią albo zimą na nadrzeczne łąki, mam wrażenie, iż cały świat wymarł, zostałam tylko ja wśród obrosłych trzciną trzęsawisk. Lecz wystarczy spojrzeć na ho-

ryzont i widzi się nitkę autostrady pełną samochodów: jednak nie wszyscy wymarli. Jest jeszcze ten inny wielkomiejski świat, do którego za nic nie potrafiłam się dopasować.

Niemal wszystkie wartościowe powieści dla dzieci czy młodzieży rozgrywają się albo na wsiach, albo w małych miasteczkach. Metropolia nie potrafi być oniryczna, ckliwa i wzruszająca w swej nieporadności i zagubieniu. Jestem za wsią! A to, że Amerykanie planują kolejny lot na księżyc, niewiele mnie obchodzi. Polecą, położą trochę po księżycowej powierzchni i przylecą – wielkie szalgiewałt. A ze Złotorii do Białegostoku w niedzielę nie ma ani jednego autobusu! I co wy na to?